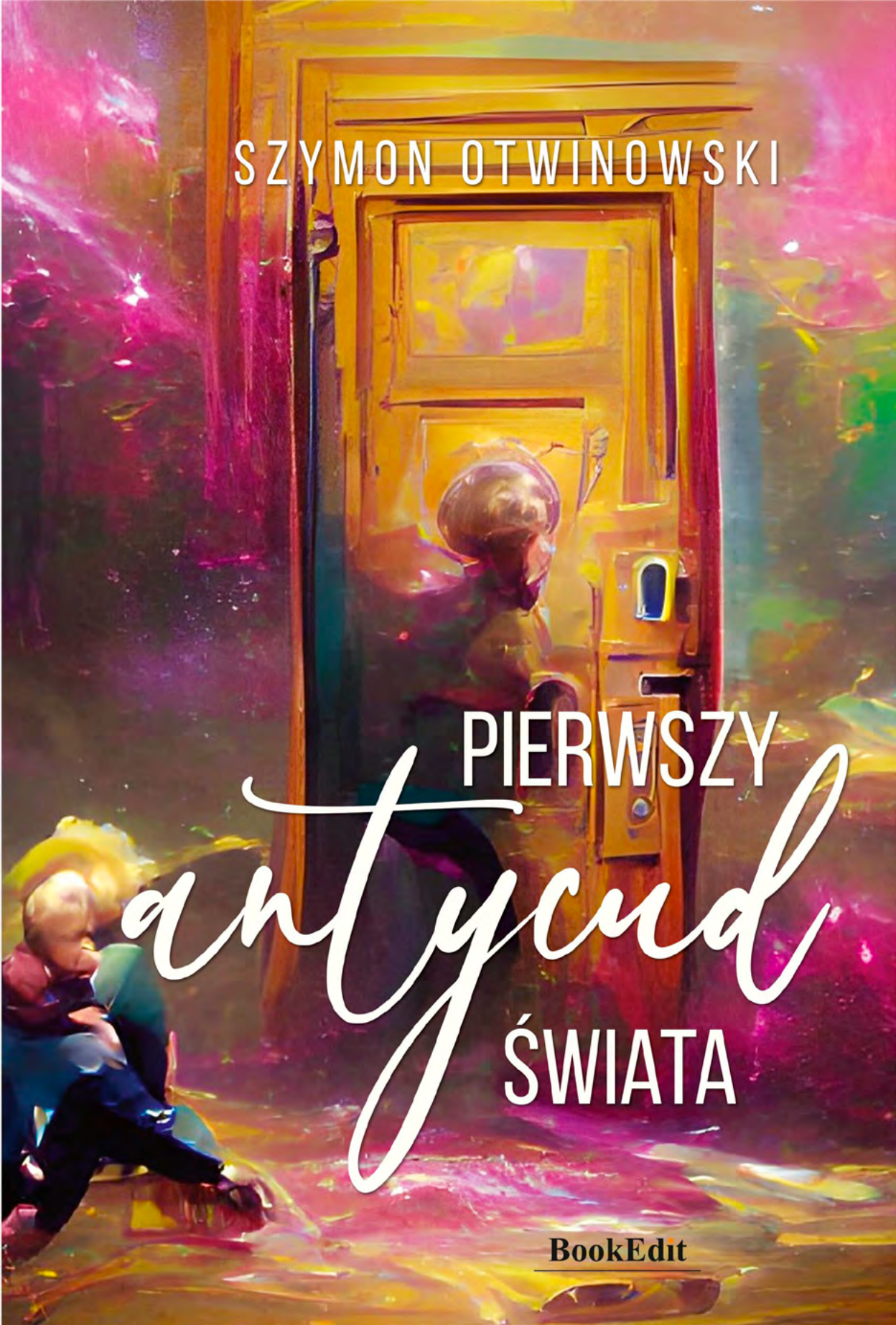




SZYMON OTWINOWSKI

PIERWSZY
antycud
ŚWIATA

BookEdit

SZYMON OTWINOWSKI

PIERWSZY
antyend
ŚWIATA

Copyright © Szymon Otwinowski, 2022

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Ilustracje na okładce: © Szymon Otwinowski

Redakcja: Magdalena Ceglarz

Korekta: Anna Kielan

e-book: JENA

ISBN 978-83-66995-87-1

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.pl/bookedit.pl

WPROWADZENIE

Tęgo dnia obudziłem się jak zwykle w okolicach południa. Kiedy otworzyłem oczy, bolały mnie wszystkie kości, a nawet mięśnie, których nie było nadmiaru. Z trudem przypominały sobie, jak działają. Leniwie wstałem z mojego wielkiego łóżka i w jedwabnej, błękitnej piżamie szurałem nogami po pokoju, przecierając oczy. Podszedłem do jednego z okien, których w sypialni miałem kilka. Były stare, wykonane z ciemnego drewna, wąskie, a ku górze ich ramy łączyły się w ostry kąt. Ponadto były ogromne jak niejeden budynek. Po drodze musiałem chodzić slalomem, żeby ominąć te wszystkie porozrzucane po ziemi zabawki. Gdy już dotarłem do okna, wskoczyłem na fotel, żeby coś dojrzeć. Nie znalazłem nic, co mogłoby choć na chwilę wywołać uśmiech na mojej twarzy. Masa białego śniegu, w którym mógłbym się utopić, na dodatek ciągle padał z nieba. Na drzewach wisiały sople lodu, które ciągnęły gałęzie ku ziemi, ostre na tyle, że mogły służyć za oszczepy. Słońce świeciło, ale było bezużyteczne, tam i tak pewnie było jak w chłodni, wolałem leżeć w ciepłym łóżku i bawić się bezpiecznie. Lecz nim z powrotem udałem się pod pierzynę, poszedłem do toalety. Po uchyleniu dębowych drzwi wszedłem do środka. Wygodne było to, że znajdowała się przy moim pokoju.

Tam zimny, kremowy marmur mroził mi stopy, ale musiałem to wytrzymać. Tuż przed umywalką miałem małe schodki, aby dosięgać kranu. Będąc u góry, umyłem swoje białe zęby, tak jak kazał dentysta, potem oblałem twarz wodą i spojrzałem w lustro, które miało ramy ze złota. Widziałem swoją trupią twarz – była podłużna, gładka i smętna. Miałem wtedy blond loki średniej długości, więc musiałem zaczesywać je za uszy, żeby cokolwiek słyszeć. Oczy zielone, a na licach kilka piegów. Brwi gęste, a czoło malutkie. Skończyłem dziesięć lat, więc nie przejmowałem się swoim wyglądem, nie miałem też kompleksów. Szybko poprawiłem piżamkę i czmychnąłem do łóża.

Taki poranek to była moja codzienność, praktycznie stało się to rytuałem. Nie wiem, od kiedy zacząłem tak egzystować, nie widziałem też końca, ale nie znałem innej drogi. Kiedy już leżałem wygodnie w ciemnym pokoju, do którego wpadało jedynie światło zza okien, rozejrzałem się wokoło. Pomieszczenie było nad wyraz duże i wysokie, bałagan stworzony z zabawek wszelkiej maści rzucał się w oczy. Moje łóżko, czyli centrum mojej rzeczywistości, znajdowało się pod ścianą, po bokach

ustawiono dwie komody, a na nich nie było dosłownie nic. Okna widniały po obu stronach, lecz najciekawszy widok miałem na wprost. Były tam drzwi, które prowadziły na korytarz.

Kiedy ostatni raz przez nie przechodziłem, byłem na tyle mały, że nie udało mi się zapamiętać, co tam było. Teraz moja ciekawość dała już spokój, nie myślałem, co tam jest. Wszystko, czego chciałem, miałem pod ręką w pokoju. Jednak parę razy w ciągu dnia drzwi otwierały się i wchodziła przez nie niania. Nie pamiętam, jaką miała twarz ani jakiej postury była. Nie zwracałem na nią szczególnej uwagi. Wiem tylko, że chodziła obok mnie i przynosiła mi jedzenie, które nie było smaczne. W tamtej chwili właśnie czekałem na nią, a kiedy w końcu łaskawie się pojawiła, przyniosła mi na srebrnej tacy jakąś rybę. Wokoło niej warzywa, a do picia sok, dopiero co wyciśnięty. Niania zaś na szyi miała zawieszony wór na moje brudne ubrania, a na nadgarstkach reklamówki z nowymi zabawkami.

Strasznie dyszała i ciągle stękała, jakby była zmęczona tak łatwą pracą. Nic nie robiła, a zachowywała się, jakby ratowała świat. Gdy już wyszła z pokoju, a ja zjadłem śniadanie, odpakowałem zabawki. Pierwszą z nich był wóz strażacki, który po włączeniu strasznie wył, więc rzuciłem go w kąt. W drugim pudełku znajdował się jakiś superbohater, nudny i szybko się łamał. Przebrnąłem tak przez wszystkie paczki i nim zegar zabił szesnaście razy, nie miałem już czym się bawić. Jednak na dnie reklamówki znalazłem jakąś gazetę, tak przynajmniej sądziłem. Okazało się, że były to krzyżówki, kilka z nich rozwiązano, ale znalazłem dużo błędów. Nie minęła godzina, a wpisałem wszystkie hasła i znów nie miałem jasnego celu. Postanowiłem się położyć, lecz do pomieszczenia wparowała niania i wypytywała o mój stan zdrowia lub czy czegoś potrzebuję. Dała mi wtedy obiad i zabrała brudne naczynia.

Do jedzenia ponownie dostałem jakieś śmieci. Z tego, co zapamiętałem, były to trufle i bażant, okropieństwo smaku i wyglądu. Na deser były jakieś jajka ryb. Po posiłku położyłem się wygodnie i zasnąłem. W tamtym okresie nie wiedziałem, co to sny, nigdy ich nie miałem, tak jak chęci do czegokolwiek.

Kiedy się przebudziłem, była już ciemna noc, rozciągnąłem się i znów błdziłem wzrokiem po pokoju. Wtedy też weszła niania, chyba już po raz ostatni tego dnia, chciała, żebym się posilił, ale nie byłem głodny. Kazałem jej zabrać to, co przyniosła, ale zabroniłem jej tego jeść. Musiała to wyrzucić, a na dodatek powinna dać mi coś do zabawy. Już więc tamtego dnia się nie pojawiła.

Miałem okropny mętlik w głowie, ciągle myślałem o czymś, co mogę robić, ale kiedy już wpadłem na jakiś pomysł, odechciewało mi się czegokolwiek. Czekałem na coś, co pociągnie mnie do przodu, na kogoś, z kim będę mógł się bawić, ale nikogo nie lubiłem. Wołałem zostać sam. I tak przez całe dni, które tworzyły lata.

Około północy położyłem się spać z nadzieją, że jutro będzie lepiej. Gdybym tamtej nocy wiedział, co mnie czeka, to nawet na chwilę nie zamknąłbym powiek.

Przebudziłem się o ósmej. Jeszcze chyba nigdy tak wcześnie nie wstałem. Wszystko mnie bolało tak bardzo, że nie potrafiłem się nawet ruszyć. Zimne krople potu spływały mi po czole, a oczy zachodziły łzami. Powieki płonęły, a usta jedynie

krzyczały o pomoc. Kiedy ta w końcu dotarła, miałem uczucie, jakby ktoś rozplątywał mój brzuch.

Niania, słysząc moje krzyki, wybiegła z pokoju w poszukiwaniu lekarza. Nie było jej kilka minut, ale zdawało się, jakby zniknęła na kilka mileniów. Wraz z nią przybiegł starszy mężczyzna o białych włosach, srebrzystej brodzie i w skąpych okularach. W dłoni miał skórzaną teczkę i stetoskop. Ubrany był w szary, lekko za duży garnitur. Oboje stanęli nade mną i patrzyli na cierpiące dziecko.

Doktor szybko zaczął mnie badać, ale nie było łatwo. Jak tylko mnie dotknął, od razu wyłem z bólu. Po chwili dał mi środki przeciwbólowe i dopiero po paru godzinach mógł mnie zbadać. Nie wiem, ile to wszystko trwało, ale wiem, że łzami i potem zmoczyłem całe łóżko. Gdy nastał wieczór, doktor po raz pierwszy odszedł ode mnie i ze wzrokiem zbitego psa przemówił do niani.

Rozmawiali dłuższą chwilę, a moja opiekunka zdawała się nie przejmować moim stanem. Byłem zły na nich, że mi nie pomagają, więc krzyknąłem, żeby podeszli.

– Co mi jest? Czemu się tak okropnie czuję?

– Marcelku, jesteś bardzo chory... Przykro mi to mówić, ale umierasz. Nie wiem, co to za choroba, widzę coś takiego pierwszy raz. Ale wiem jedno, został ci rok. Będiesz strasznie cierpieć i niemożliwe jest wyleczenie cię.

– Co?!

– Przykro mi, ale nie zrobię nic więcej.

– Oczywiście, że nie. Bo jesteś beznadziejny, tak samo jak niania. Myślicie jedynie o sobie! Gdybym tylko był dorosły, to sam bym siebie wyleczył.

Doktor nie odezwał się ani słowem, spuścił jedynie głowę i pożegnał się z kobietą oraz ze mną. Zostałem z nianią sam na sam.

– Chłopczyku, nie dziw się temu. Ty już od lat przelatywałeś przez palce. Ta diagnoza jedynie skróci twoje męki, a może i przysłuży się dobremu – powiedziała.

Nie patrzyłem na nią, nawet nie słyszałem, kiedy odeszła i zostawiła mnie samego. Później leżałem w bezruchu, ktoś tylko przychodził zrobić mi zastrzyki ze środkiem przeciwbólowym. Nie wiem kto, nie odrywałem wzroku od sufitu. Około północy pojawił się doktor, poznałem go po głosie. Zaproponował mi środki nasenne, bo bez nich nie zasnę. Odmówiłem, chciałem być przytomny albo po prostu nie chciałem zasypiać, bo za rok zasnę już na zawsze.

Po wyjściu lekarza zostałem sam już do rana. Nikt nie przyszedł sprawdzić, czy wciąż oddycham albo czy czegoś nie potrzebuję. Tamta noc była straszna, takiego mętliku w głowie jeszcze nie doświadczyłem. Jakby myśli walczyły ze sobą i niszczyły cały umysł. Nie wiedziałem, co mam zrobić, nikt nie chciał mi powiedzieć co dalej. O ile wcześniej na coś czekałem, tak teraz ten czas był dla mnie ważniejszy od złota. Mimo to i tak nie wiedziałem co dalej, więc leżałem i czekałem. Noc mijała wolno, zasypiałem na chwilę i się budziłem.

Błądym świtem pojawili się doktor z nianią, za sobą taszczyli masę różnorakiego sprzętu. Telewizory, kable i rurki, a wszystko podłączyli do mnie i bacznie obserwowali.

Sam chciałem zerknąć na monitory, ale nie potrafiłem utrzymać otwartych powiek, byłem tak słaby, że nawet oddychanie stanowiło dla mnie wyzwanie. Miałem sine, podkrążone oczy i takiego samego koloru wargi. Nic nie jadłem, nie piłem, tylko co jakiś czas wyłem z bólu i trząsłem się z zimna. Niania i doktor biegali wokół mnie, podawali różne leki, maści czy syropy, ale nie przynosiły one ulgi. Momentami chciałem prosić o śmierć, ale nie miałem siły się odezwać.

Nadeszło południe, kiedy doktor i niania opadli ze zmęczenia. Opuścili mnie, ale obiecali, że niedługo wrócą. Mogłem wtedy pomyśleć, ale byłem bezsilny. Jakby cała moja wiedza na temat mnie się skończyła, potrzebowałem jakichś instrukcji, lecz nie wiedziałem skąd. Leżałem na plecach, a moje mięśnie wrzały z bólu. Czułem, jak skóra wtapia się w materac, ale to i tak był mniejszy ból od tego, jaki spotkałby mnie, gdybym tylko się ruszył.

Moje życie było krótkie i nudne. Całymi dniami leżałem i nic nie robiłem, nie miałem znajomych, nie chodziłem do szkoły, nie ćwiczyłem ciała ani umysłu. Miłość, pasja, hobby czy przeznaczenie – tego nigdy nie szukałem. Pozostał mi rok na tym padole, musiałem to zmienić, ale wciąż nie wiedziałem jak.

W końcu niania i doktor wrócili. W oczach lekarza wciąż widziałem porażkę. Szybko sprawdził moje wykresy na monitorze i stanął obok mnie.

– Marcel, wiem, że cię boli, ale musisz odpowiedzieć na kilka pytań.

Pytał o najróżniejsze rzeczy, od posiłków do pozycji, w jakiej śpię. Jednak odpowiadałem po dość długim czasie, ponieważ szukałem najkrótszej odpowiedzi, takiej, która zaboli najmniej. Kiedy już wszystkie udzieliłem, zapytał o coś na temat, o którym wiedziałem najmniej. Zaczął wypytywać o moich rodziców, więc milczałem. Niania szybko odpowiedziała za mnie. Na szczęście wszystko to odbywało się przy mnie, więc i sam dowiedziałem się nico o właściwie obcych mi ludziach.

– Doktorze, rodzice chłopca pracują daleko stąd. Matka dzwoni do Marcelka co niedzielę, jest prezesem szwajcarskiego banku.

– A co z ojcem?

– On jest profesorem na jakiejś uczelni w Stanach.

– Kiedy ostatni raz widzieli się z chłopcem?

– Niestety nie wiem. Pracuję tu już prawie trzy lata, ale jeszcze ich nie widziałam. Jednak oni naprawdę martwią się o chłopca, każą kupować mu najlepsze zabawki, dawać wszystko, o co poprosi, nawet jedzenie jest idealne.

– Rozumiem, ale nie na tym polega tworzenie człowieka.

Leżałem tuż obok nich, przysłuchiwałem się temu i najbardziej zdziwił mnie jeden fakt. Mianowicie głos mojej niani. Jeszcze nigdy nie byłem tak wsłuchany w niego, brzmiała jak śpiewaczka operowa, anioł i słowik w jednym. Głos tak piękny, że żałowałem z miejsca, że nie słuchałem jej codziennie przez te trzy lata. Wtedy pomyślałem, że przez cały mój czas z własnej woli męczyłem się, nie ciesząc się tymi wszystkimi, małymi cudami tego świata. Następnie doktor nachylił się nade mną i rzekł mi jedno zdanie, które utkwilo w mej świadomości aż do końca.

– Marcelku, nie zdołam cię ocalić, nikt nie zdoła. Jako lekarz widziałem już wiele śmierci, ale najczęstszą jest śmierć za ciebie. Masz rok, nie zmarnuj ani sekundy.

To zdanie zdawało się wtedy moją instrukcją albo chociaż jej ułamkiem. Wtedy już wiedziałem, co muszę zrobić, skoro się kończę, to niech chociaż zacznę. Wówczas wybiła godzina dwudziesta, a ja znów zostałem sam. Ciemny pokój, zewsząd atakowała mnie samotność jak jeszcze nigdy. Jeszcze ta cisza, martwa, jedyne, co słyszałem, to odgłosy maszyn, do których byłem przypięty. Próbowałem zasnąć, ale nie potrafiłem. Tym razem nie przez myśli, zaatakował mnie strach. Nie potrafiłem się pogodzić z tym, co mnie spotkało, myślałem, że to sen, jakiś okropny koszmar. Potem zacząłem zastanawiać się, czy to jest jakaś kara, ale nic tak strasznego nie uczyniłem dotychczas, żeby musieć tyle płacić. To był straszny wieczór, próba pogodzenia się z niemożnością przetrwania tego, co inni. Wtedy to znów płakałem, ale nie z bólu, a ze smutku. Chciałem mieć kogoś bliskiego obok siebie, ale przypominałem sobie, że wszystkich skrupulatnie odtrącałem. W takich sytuacjach potrzebni są rodzice, ale moi byli daleko. Nawet gdyby byli na miejscu, nie wiem, czy poświęcaliby mi tyle swojej miłości, ile chciałem, ale bardzo wtedy potrzebowałem uwagi.

Po jakimś czasie ponownie nawiedził mnie doktor i jak zwykle zbadał mnie oraz podał jakieś leki. Jednak tym razem wyjątkowo przysunął taboret do mojego łóżka i usiadł. Wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym wytarł łzy z moich lic. Następnie chciał wstać i wyjść, ale nie pozwoliłem mu. Kazałem lekarzowi zostać i zająć się mną. Ten jednak zawahał się, a pod koniec postanowił odejść. Potem krzyczałem na niego, wszystko to po to, aby został jeszcze trochę przy mnie.

– Proszę! Zostań... – wrzasnąłem, gdy już otwierał drzwi na korytarz.

Słyszając to, doktor zamknął drzwi i powrócił na taboret. Pierwszy raz od lat poprosiłem o coś, a nie domagałem się tego. Obaj byliśmy tym zdziwieni. Doktor siedział w milczeniu i czekał na jakiś ruch z mojej strony, jednak nie wiedziałem, co mam powiedzieć, o co zapytać. Po upływie kilku uderzeń wskazówek zegara otwarłem usta z nadzieją, że słowa same zaczną płynąć. Jednak nic się nie wydarzyło, byłem okropny w nawiązywaniu kontaktu z ludźmi. Wiedziałem, że nie mogę tak milczeć, taka szansa mogła się więcej nie powtórzyć, chciałem choć raz wykorzystać to, co daje mi los. Zmuszałem mózg do wysiłku, aż w końcu wpadłem na pomysł.

– Ma pan dzieci?

Doktor lekko zaśmiał się. Pewnie z mojej oszczędności słów, ale im było ich więcej, tym cierpiełem bardziej.

– Tak, mam. Nawet wnuki. Dwoje z nich jest w twoim wieku, a najstarszy ma dwanaście lat.

– Jacy są?

– Normalni. Chodzą do szkoły, bawią się, lecz nie w samotności, tak jak ty, ale z innymi. Dzielą się i są obdarowywani radością. Różnią się od ciebie w zasadzie tylko tym, że są szczęśliwi.

– Ja też jestem szczęśliwy. Spójrz na te zabawki wokół nas, na wielkość mojego pokoju, na ogród. Sam dom jest większy niż niejedna wieś.

– To prawda, masz bardzo dużo, ale to nie daje szczęścia. Marcelku, tobie się tylko wydaje, że wiesz, co oznacza to słowo. Niektórzy mierzą cały świat, a i tak nie znajdują szczęścia.

– A czy ty, doktorze, znalazłeś kiedyś szczęście?

– Mnóstwo razy.

– Więc oddaj mi jeden moment.

Doktor lekko zaśmiał się pod nosem i spojrzał na mnie jak jeszcze nigdy dotąd. To już nie było spojrzenie pogardy, zawodu czy porażki, ale wesołe, jakby sam cieszył się tą rozmową. Następnie przejechał swoją pomarszczoną i wysuszoną dłonią po brodzie.

– Niestety to tak nie działa. Szczęście jest indywidualne, a co za tym idzie, nie można go oddać. Ale można kogoś nim obdarować, lecz potrafią to jedynie bliskie ci osoby – rzekł.

– Kto na przykład?

– Mogą nimi być twoi przyjaciele, rodzice. Najwięcej szczęścia musi dawać ci miłość i osoba, do której to czujesz.

– Co takiego?

Wtem doktor otworzył szeroko ślepią i zamarł. Po chwili poprawił swoje okulary i zachowywał się jak ja na początku. Ewidentnie chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, jak ubrać to w słowa.

– Jak możesz nie wiedzieć, co to miłość? Przecież to dla wielu najważniejsza rzecz – powiedział po chwili zastanowienia.

– Jakoś nikt mnie nie uświadomił o czymś takim.

– Bo tego trzeba doświadczyć, poczuć na własnej skórze.

– Może i ma pan rację, ale nie nauczono mnie tego.

Doktor nie wierzył własnym uszom, chciał nauczyć mnie znaczenia tego słowa, ale wiedział, że to nie jest jego zadanie. Pod koniec naszej rozmowy stwierdził, że jestem pusty wewnątrz. Nie znałem niczego, byłem okrutny, ale nie tylko dla innych, w szczególności dla samego siebie. Rzekł, że powinienem dowiedzieć się jeszcze wielu innych rzeczy. Wtedy zrozumiałem, że przez tyle lat wszystko było drzwiami na korytarz. Miałem je na wyciągnięcie dłoni, ale nie chciałem wystawić nosa z wygodnego łóżka, lecz musiał nastać moment, gdzie los sam wypchnie mnie z gniazdką i będę musiał poznać wszystkie smaki, jakimi mnie poczęstuje.

Później doktor podał mi leki nasenne, abym choć trochę wypoczął. Niedługo potem, kiedy leki zaczynały działać, do pokoju wszedł pewien mężczyzna. Z początku nie widziałem jego twarzy, wszystko zaczęło się mi się rozmazywać w oczach, wiem jednak, że był bardzo wysoki, na sobie miał czarną, lśniąca kamizelkę, a pod nią białą koszulę. Spodnie zaś były od garnituru, także czarne. Widziałem, jak ów pan zaczął sprzątać mi w pokoju, był bardzo zmęczony. Później, gdy już zacząłem widzieć jego głowę, pot spływał mu z czoła, oczy miał podkrążone od niewyspania, usta suche od odwodnienia, a ubrania pogniecione po kilkunastu godzinach noszenia ich na ciele. Mimo tego całego trudu, jaki musiał jeszcze poświęcić, aby posprzątać

u mnie, nie poddawał się, robił wszystko starannie i z zaangażowaniem. Wszystko to przy akompaniamencie jego gwizdów. To była ostatnia rzecz, jaką widziałem przed długim snem.

WŁODZIMIERZ

Kiedy nad rankiem otworzyłem oczy, czułem się okropnie, to był chyba najgorszy dzień ze wszystkich. Czułem taki ból krążący po moim ciele, że nie da się tego opisać. Nie potrafiłem złapać tchu, a co dopiero zawołać kogokolwiek, tylko w myślach wołałem o pomoc. Maszyny ustawione wokół mnie zaczęły wariować, migały na różnorakie kolory, piszczały i wibrowały. Wówczas sądziłem, że to już ten dzień, miałem obawy, że doktor się mylił i zamiast roku został mi jeden dzień. Po niedługiej chwili odpuściłem i pogodziłem się z myślą, że to już koniec mnie. Nie miałem w głowie wizji siebie i rzeczy, których nie zdążyłem zrobić, bo nawet nie wiedziałem, co mogłoby to być.

Nagle, nie wiadomo skąd, do głowy wdarł mi się intruz, był to mężczyzna, który wczoraj sprzątał mi pokój. Widziałem go, jak stoi pośrodku ciemności i jedynym światłem jest tam on. Podał mi dłoń, a kiedy odwzajemniłem się mu, zaprowadził mnie nieco dalej, gdzie był ogromny bałagan. Zaczął sprzątać i pogwizdywać przy tym radośnie. Wpatrywałem się w jego zamazaną twarz i nie wiedziałem, co mam zrobić. Spojrzał na mnie i jak przez mgłę zauważyłem uśmiech. Wtem momentalnie zrozumiałem, co mam uczynić. Szybko otworzyłem oczy i znalazłem się z powrotem w moim pokoju. Leżałem na łóżku i cierpiałem okropnie. Zaciśnąłem szczękę najmocniej, jak potrafiłem, zmrużyłem oczy i podniosłem się. W brzuchu czułem wówczas ogień trawiący wszystkie moje mięśnie, ale nie poddałem się i usiadłem. Potem, widząc, że udało mi się, nie zatrzymałem się, musiałem opuścić tę trumnę bez wieka.

Wystawiłem wpierr lewą nogę i gdy ta zetknęła się z ziemią, poczułem zimno. Pierwszy raz od paru dni czułem coś innego, było to przepiękne uczucie. Szybko położyłem na ziemi drugą stopę i wstałem najszybciej, jak tylko mogłem. Niestety ból, jakby trzymał mnie na łańcuchach przykutych do łóżka i równie szybko padłem z powrotem na materac. Cały ten trud, by tylko zmienić pozycję – to nie mogło się tak skończyć. Odpocząłem chwilkę, drgając z wyziębienia i skurczy, lecz im dłużej leżałem, tym bardziej chciałem tam zostać, nie cierpieć więcej, ale nawet nie wiedziałem, czy to się opłaci. Gubiłem swój cel, który uciekał za horyzont, a ja zaprzestałem pogoni za nim.

Jednak wtem, jak na zawołanie, przypomniałem sobie o tajemniczym mężczyźnie i jego lekcji. Mianowicie cierpienie to nieodzowny element mnie, nie ma

możliwości ominięcia tego, ale mogę pozostać w tej samej sytuacji już na zawsze, pytanie jednak brzmi, czy to mi wystarczy. Okazało się, że nie i szybko zacisnąłem pięści na swoich nogawkach, żeby choć trochę pomóc sobie przy wstawaniu. Spodenki w połowie mojej drogi poddały się i pękły, a wraz z dźwiękiem ich rwania padłem po raz drugi.

Tym razem długo nie leżałem i szybko szukałem kolejnego sposobu, aby wstać. Zacząłem błądzić dłońmi po łóżku, żeby odnaleźć cokolwiek, co mi pomoże, po chwili nawet mój kark przypomniał sobie, jak działa. Nie udało mi się znaleźć niczego, pościel szybko ześlizgiwała się, a ramy łóżka były za daleko. Nie miałem wyboru i musiałem spaść na podłogę. Zacząłem przerzucać swoje ciało niczym gąsienica, małymi kroczkami zbliżałem się do krawędzi i leżąc tuż przy niej, spojrzałem w dół.

Wysokość nie była zatrważająca, ale niemalże potrafiłem wyobrazić sobie ten dodatkowy bodziec. Mimo to ześlizgnąłem się i upadłem prawym bokiem na ziemię, głową uderzyłem o jakąś zabawkę. Po chwili zrobiło mi się ciemno przed oczyma, z bólu myślałem, że zwymiotuję albo – co gorsza – zemdleję i stracę niepotrzebnie czas. Na szczęście doszedłem do siebie i zobaczyłem, że przedmiot, w który uderzyłem, to był wóz strażacki. Podczas uderzenia włączył się i uruchomiłem w nim światelka. Gdyby nie fakt, że leżał on tak samo jak ja, czyli na boku, odjechałby.

Wpatrując się tak w tę zabawkę, nie wiedziałem, co robić dalej. Będąc na górze, nie sądziłem, że mi się uda w ogóle znaleźć tam, gdzie wówczas byłem. W mojej głowie jawiła się jedynie pustka, pomysły nie napływały, mimo że z taki trudem ich słuchałem. Wtedy wpadłem w istny szal, zacząłem krzyczeć i płakać z bezsilności. Obwinałem każdego, lekarza, że nie mógł mi pomóc, pielęgniarki, że nie dbała o mnie, a nawet nieznanego mężczyznę, który zmusił mnie do tego. Minęła może godzina, w ciągu której przerzucałem winę na każdego. Po upływie tego czasu zrozumiałem, kto jest tak naprawdę winny i nie byłem to ja, a moja słabość. Może i walczyłem, ale było to za mało, by osiągnąć swój cel.

W końcu zamilkłem, a gdy lzy zamieniły się w wysuszone ślady soli, spojrzałem na wóz, a za nim zobaczyłem drzwi do łazienki. Przypominałem sobie o schodkach, po których mógłbym się wspiąć i wstać, ale nie potrafiłem się tam dostać, a moje mięśnie były na tyle słabe, że nie udałooby mi się tam doczołgać. Lecz kiedy przestałem szukać rozwiązania, ono znalazło mnie i pomysł sam przyszedł mi do głowy. Nie mając wyboru, zacząłem podążać za swoją myślą.

Pierwszym punktem było dorwanie wozu strażackiego w swe ręce. Wyciągnąłem prawą dłoń przed siebie. Strasznie się trząsłem, więc złapanie zabawki było wyzwaniem, jednak udało się i przyciągnąłem wóz do siebie. Położyłem go koło swojego torsu kołami w dół i przewróciłem się na niego. Nie wiem, czy wtedy coś mi nie pękło, na przykład któreś z żeber, bo jedyne, co było można usłyszeć to mój krzyk. Szybko stłumiłem go w sobie, później odpychałem się nogami i rękami, aby tylko dojechać do łazienki.

Jechałem w miarę prosto, gdyż nieznanomy posprzątał większość zabawek, a same drzwi były otwarte, więc kiedy dojechałem do nich, uchyliłem je i wjechałem

do środka. Będąc pod schodkami, zrzuciłem się z wozu i szybko położyłem prawą dłoń na pierwszym z czterech stopni, następnie przyciągnąłem całe swoje ciało bliżej dębowego mebla.

Wtem na mojej twarzy pojawiło się zdziwienie. Moje mięśnie jakby ponownie zaczęły działać, byłem znów sprawny, a nawet bardziej niż pamiętam. Lewą dłoń położyłem wyżej niż prawą i tak na przemian. Kiedy już klęczałem, podniosłem wysoko prawe kolano i położyłem stopę na podłodze. Pamiętam, że im wyżej się znajdowałem, tym ból tracił na mocy, a przez to bardziej byłem zmotywowany.

W końcu po tylu dniach, po takiej męce, udało mi się stanąć na nogi. Wyprostowałem się i spojrzałem w dół – chciałem mieć pewność, że stoję. Na moich ustach pojawił się uśmiech, prawdziwe szczęście, którego nie zaznałem od lat. Wówczas usłyszałem, jak do mojego pokoju wbiegli doktor i pielęgniarka. Przez drzwi widziałem, jak stanęli przy moim łóżku, lekarz spoglądał na monitory i przypuszczał śmierć, niania zdawała się naśladować doktora. Kiedy w końcu oboje spojrzeli na łóżko i odsunęli nieco pościel, zauważyli, że mnie tam nie ma. Na ich twarzach pojawiło się niezrozumienie, zdziwienie oraz strach. Doktor szybko zaczął myśleć na głos, co mogło się ze mną stać.

– Proszę pani... to chyba porwanie. Złodzieje najwyraźniej pragną okupu. Proszę szukać karteczki z żądaniami i niezwłocznie zawiadomić policję!

Wtem niania odwróciła się i już miała wybiec z pokoju, ale zwróciła uwagę na drzwi od łazienki, w których stałem ja, o własnych siłach. Moje dłonie były wolne, nie trzymałem się niczego. Spojrzenie, jak i chód miałem idealnie proste, zimne dreszcze odeszły w niepamięć tak samo, jak krzyki wywołane bólem.

Niania wrzasnęła na widok mnie zbliżającego się do niej, to zaś zwróciło uwagę doktora. Spojrzał on na mnie z radością, troszkę poprawił sobie okulary, aby upewnić się, że to ja i podbiegł do mnie, po czym rzucił się na kolana, aby mnie uściskać. Oplótł mnie swoimi ramionami na wysokości mojej szyi i zacisnął tak mocno, że o mało mnie nie udusił. Ja jednak miałem ramiona spuszczone wzdłuż ciała, ponieważ nie wiedziałem, co mam zrobić. Kiedy doktor już odpuścił, położył mi na prawym barku swą lewą dłoń. Szczegółowo sprawdzał, co mi jest, jak wyglądam, a następnie zaprowadził mnie do łóżka, na którym usiadłem.

– Szybko, przynieście mu coś do picia, jest bardzo odwodniony – wykrzyczał doktor do niani.

Nagle zostaliśmy sami w pokoju, a do mojej gołej klatki lekarz znów podłączył kabelki od monitorów. Prosiłem go, żeby już dał mi odpocząć, ale musiał zrobić ekspertyzę. Kiedy już wszystko działało, mieliśmy mnóstwo czasu, zanim maszyny wydrukują wyniki.

– Nie mogę w to uwierzyć. Chodzisz i wyglądasz, jakbyś ozdrowiał.

– Mówiłem, że idzie mnie wyleczyć.

– Jeszcze nie wiemy, czy jesteś zdrow. Ale jak w ogóle tego dokonałeś?

– Szczerze, sam nie wiem. Po prostu musiałem wstać. Miałem dość już miejsca, z którego nie potrafiłem wyjść, więc włożyłem w to cały swój wysiłek i udało mi się.

– Więc cały ból już minął?

– Niestety nie. On chyba zostanie ze mną do końca, ale udało mi się nad nim zwyciężyć, więc nie będzie on już górował. O ile się nie poddam.

– Rozumiem cię. Więc co teraz zamierzasz?

Chciałem odpowiedzieć, ale ponownie zabrakło mi słów. Albo też nie znałem odpowiedzi na to pytanie, lecz i tak niedane mi było jej udzielić, ponieważ ktoś zapukał do drzwi i odwrócił naszą uwagę. Kiedy doktor zezwolił na wejście, zobaczyłem tego samego mężczyznę, który sprzątał moje zabawki. Wszedł on do pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Rzekł, że chce tylko dokończyć sprzątanie, jednak nie pozwoliłem mu na to.

– Przepraszam! Podejdź tu szybko.

Mężczyzna powoli i niepewnie zbliżył się do mnie.

– Kim jesteś?

– Wybacz mi. Jestem jednym z pracowników w tym pałacu. Pracuję głównie dla twojego ojca, ale wykonuję wiele zadań, między innymi sprzątam.

Spojrzałem na jego twarz, przyjrzałem się jej dokładnie jak nigdy nikomu. Miał on siwe włosy, które zaczesywał za uszy, lecz górna część głowy była już łysa. Twarz pomarszczona, lecz ciągle uśmiechnięta. Na swoim grubym nosie nie miał okularów, za to pod nim wyhodował okazałego wąsa, który przysłaniał nieco górną wargę. Reszta ciała była taka, jak ją zapamiętałem. W momencie, kiedy wpatrywałem się w niego, ten poczuł niemały dyskomfort.

– Nazywasz się Marcel, prawda? – zapytał.

– Tak, a ty?

– Nazywam się Włodzimierz. Cieszę się, że jesteś już zdrowy.

Nagle maszyny zaczęły wydawać dziwne dźwięki. Okazało się, że moje wyniki się drukują. Doktor podszedł pod maszyny, założył swoje okulary i szybko czytał ich treść. Później podniósł głowę i jakby w zwolnionym tempie zmierzał do mnie. Z każdym kolejnym krokiem przerzucał swój wzrok na kolejne rzeczy, jakby chciał uniknąć mojego spojrzenia. Gdy jednak już musiał spojrzeć mi w oczy, zrobił to z przykrością.

– Marcelku, Niestety mam złe wieści. Nadal jesteś chory... Przykro mi to mówić, ale i tak umrzesz.

Kiedy to usłyszałem, wcale nie zdziwiłem się ani nie posmutniałem. Szczerze, nie poczułem żadnych emocji. Jednak Włodzimierz spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem, jakby było mu mnie żal. Doktor nie potrafił powiedzieć nic więcej, a sam także nie chciałem z nim rozmawiać, więc rozstaliśmy się. Wówczas ze mną w pokoju został jedynie Włodzimierz. Stał jak marmurowy posąg przed moim łóżkiem, nie wiedział, co ma zrobić, więc chciał iść w ślady doktora i także zostawić mnie samego.

– Dokąd myślisz, że się wybierasz?

– Słucham?

W jego głosie usłyszałem nieco wzgardy.

– Przecież nie powiedziałem, że możesz sobie iść.
– To prawda, ale nie wydaje mi się, że potrzebuję twojej zgody.
– Jak to nie?! Pracujesz dla mnie, podobnie jak inni w tym domu, macie mnie uszczęśliwiać i robić to, co wam karzę.

– Marcelku, przykro mi to mówić, ale nie musimy. Robimy to z własnej woli, ponieważ zależy nam na tobie. Lecz teraz mam inne rzeczy do roboty i muszę cię zostawić.

– Nie możesz!

Włodzimierz odwrócił się i odszedł. Zamykając za sobą drzwi, nawet się nie pożegnał. Zostałem sam, w pełni sprawny. Była godzina południowa, więc postanowiłem przejść się po pokoju, zrobić coś, czego dawno nie robiłem. Podeszedłem pod okno, wdrapałem się na krzesło i wyjrzałem na dwór. Wszędzie pełno śniegu, roślinność martwa jak ja sprzed paru godzin. Widok ten wcale mnie nie porwał ani nie zatrzymał na długo. Nie wiedziałem, co robić, nagle jakby doświadczyłem czegoś zupełnie nowego, nudziłem się okropnie i nie wiedziałem, jak to zmienić.

Zacząłem bawić się zabawkami, ale i one mnie nudziły po krótkim czasie. Postanowiłem wziąć prysznic, zabrałem świeże ubrania z szafki i udałem się do łazienki. Kąpiąc się, myślałem, co będę robić później, ale nic nie wpadało mi do głowy. Zastanawiałem się, jak wyglądały moje dni przed chorobą i zorientowałem się, że umierałem już o wiele wcześniej. Dodatkowo nie dawał mi spokoju Włodzimierz, chciałem z nim porozmawiać, ale już nie miałem ku temu okazji. Kiedy czysty i przebrany wyszedłem z łazienki, spojrzałem na zegar – minęło niecałe pół godziny.

Czas strasznie mi się dłużył, to wszystko, co miałem w pokoju nie pomagało, a to całe zamknięcie, odizolowanie doprowadzało mnie do obłądu. Zapragnąłem czegoś więcej niż leżenie i ciągłe marnowanie siebie. Musiałem to zmienić, ale nie wiedziałem jak. Postanowiłem wyjść na korytarz, ale bałem się. Nie mogłem ot, tak wyjść, więc ostatecznie zostałem w łóżku. Poprawiłem sobie poduszki, kołdrę, ułożyłem się wygodnie i chciałem zasnąć, jednak nie mogłem, mój mózg, nie wiedząc czemu, nie pozwalał mi na to.

Nagle zacząłem słyszeć dźwięki zegara, były bardzo irytujące i tylko przypominały mi o długim czasie, jaki mi pozostał. Miałem go tak dużo, ale nie wiedziałem, do czego on mnie prowadzi. Na co czekałem, czego chciałem? Otwarłem więc oczy i usiadłem, poprawiłem nieco włosy i zacząłem masować się po szyi.

Nagle zauważyłem na jednej z szafek kartki papieru. Całe białe i czyste, a na nich jeden długopis. Zapewne zostawił je doktor, ale postanowiłem wykorzystać je, zamiast dać im leżeć bezczynnie. Sięgnąłem po nie, ustawiłem krzesło przy stoliku i usiadłem przy nim. Długopis wzięłem do lewej dłoni i zacząłem malować, a przynajmniej chciałem. Po przyłożeniu końcówki długopisu do kawałka papieru nie wiedziałem, co namalować. Myślałem o najróżniejszych rzeczach, ale nie wiedziałem, co mam umieścić na tej kartce.

Siedziałem tak pochylony i rozmyślałem nad najróżniejszymi rzeczami, od krajobrazów aż po twarze ludzi. Moja głowa po pewnym czasie zaczęła się przegrzewać,

lenić i nie nadążyć. Myślałem, żeby się poddać, ale nie mogłem. Wówczas przyszedł ten czas, kiedy nie mogłem pozwolić sobie na ten przywilej, już nigdy. Po nie wiadomo jak długim czasie dowiedziałem się, czemu nie mogę nic namalować. Zorientowałem się, jak mało widziałem. Nie miałem co przelać na papier, ponieważ nie doświadczyłem niczego, co byłoby tego warte. Jednocześnie nie chciałem zostawić białej kartki, więc zacząłem szukać czegokolwiek.

W końcu odłożyłem długopis i przyłożyłem plecy do oparcia krzesła, próbowałem się odprężyć na chwilę i wtedy ujrzałem moje łóżko. Coś tak przyjemnego, ciepłego, w objęcia którego każdy chce się ciskać. Jednak z drugiej strony przez ostatnie lata było to moje więzienie, zwodnicza przyjemność, która mnie niszczyła. Pokój, w którym przebywałem, to była moja cela, z której mogłem wyjść, kiedy tylko chciałem, ale coś mi nie pozwalało.

Wtedy wiedziałem, co mam namalować. Szybko pochwyciłem długopis w dłoń i przyłożyłem nos do stołu. To była moja pierwsza przygoda z rysowaniem, nie wiedziałem, czy robię to dobrze. Nie wiedziałem nic na ten temat, ale nie planowałem wówczas zostać mistrzem w tym fachu. Chciałem jedynie coś zrobić i czerpałem z tego niemałą przyjemność. Malowałem tak szybko, że wzrok nie nadążał za liniami, palce drętwiały, a język oblizywał usta w lustrzanym odbiciu z ruchami nadgarstka. Wtedy po raz kolejny pojawił się uśmiech na mojej twarzy.

Kiedy moja praca dobiegła końca, zawitała do mnie moja niania. Przyniosła ona jakiś posiłek, ale nie pamiętam, czy był to obiad, czy kolacja, zgubiłem rachubę czasu i nie zamierzałem sprawdzać godziny. Kiedy na kartkach zawitała taca z kolejnymi pysznościami, nie miałem ochoty tego jeść. Zupa krem i udka przepiórcze – nie znałem się na kuchni, ale wiedziałem jedno, to nie jedzenie dla dziecka.

– Nianiu, zabierz to z powrotem i zwołaj do mnie Włodzimierza.

Wypowiadając to polecenie, nie myślałem, nie miałem zamiaru wypowiadać nawet jego imienia, ale widocznie tego właśnie chciałem. Niania jednak odparła, że nie ma teraz czasu, ale przekaże mu, że chcę się z nim widzieć. Następnie zabrała jedzenie i wyszła. Ja zaś znów zostałem sam i widząc swój skończony obraz, musiałem znaleźć sobie nowe zajęcie.

Udałem się do łazienki, przemyłem twarz i wróciłem do sypialni. Stałem na jej środku, wpatrywałem się w łóżko, ale nie mogłem ponownie skrócić swojego czasu. Wówczas spojrzałem na swój strój, którym wiecznie była piżama. Każda jedwabna, różniły się jedynie kolorami, ale skoro miałem w końcu się obudzić musiałem zmienić ubiór.

Zajrzałem do swojej szafy i znalazłem masę piżam. Wszystko wyprane, wyprasowane i poukładane idealnie jakby od linijki. Zacząłem grzebać dłońmi po każdym zakamarku mebla, lecz nie umiałem wyczuć niczego innego. Wyciągnąłem więc pierwszy komplet i rzuciłem go na ziemię. To samo zrobiłem z całą resztą, aż na pułkach było zupełnie pusto. Kiedy nie znalazłem niczego, podszedłem do komody, a w niej zastałem również piżamy. Przeszukałem każdy mebel w sypialni i nie znalazłem nic. Wtem, kiedy cała podłoga pokryta była barwnymi materiałami, do

drzwi zaczął ktoś pukać. Nie oczekiwałem nikogo, ale wierzyłem, że może to być Włodzimierz. Niechętnie zezwoliłem tej osobie na wejście i jak się okazało, moje oczekiwania sprawdziły się.

– Witaj. Podobno chciałeś mnie widzieć.

– Tak. W sumie to chciałem z tobą porozmawiać.

– Zatem słucham.

– Niania mówiła, że masz dużo do zrobienia, że dziś już nie zdążysz mnie odwiedzić.

– To prawda. Miałem dużo pracy, ale pośpieszyłem się i przyszedłem wedle twojej prośby. Więc o czym chciałbyś porozmawiać?

– Nie wiem, jak to powiedzieć.

– Najprościej. Nie do wszystkiego trzeba używać umysłu, czasem wystarczy powiedzieć wprost.

– Dobrze. Więc nie daję mi spokoju to, co mi powiedziałeś. Że nie robicie nic, dlatego, że wam każe, a dlatego iż wam na mnie zależy. Nie wiem dokładnie, o co chcę zapytać, może rozwiniesz to?

Włodzimierz wtedy lekko zaśmiał się i próbował to ukryć, poprawiając dłonią wąsa. Jednak zauważyłem to i nie byłem zadowolony z jego postawy.

– Coś cię bawi? A może przeszkadza, jeśli tak szybko możesz zmienić pracę.

Wtem mężczyzna przybrał swoją poważną twarz, którą nieczęsto eksponował. Przybliżył się do mnie i spojrzał na mnie z góry.

– Oczywiście, że mogę rozwinąć. Miałem na myśli szacunek.

Kiedy usłyszałem ten zwrot, nie zrozumiałem ostatniego słowa.

– Dalej nie rozumiem – mówiąc to, nadal używałem władczego tonu, Włodzimierz zaś spokojnym i cierpliwym.

– Szacunek to wyrażanie poszanowania czyjejś osoby. Powinno się go zawsze mieć na początku poznawania osoby, a z czasem osądza się, czy ten ktoś zasługuje na respekt z twojej strony. Ty nie masz szacunku nigdy i dla nikogo.

– Jedyne, czego nie mam, to ubrań.

Włodzimierz zaśmiał się głośno. Nie wiedziałem czemu, nawet tego nie planowałem. Starszy pan jednak spoglądał w moje oczy wrażliwszym spojrzeniem. Kiedy już opanował śmiech, pożegnał się i chciał wyjść, jednak nie pozwoliłem mu. Ten powiedział na głos: „Szacunek” i nie wiedziałem, czego może chcieć. Kazałem mu usiąść przy stole. Ten niezbyt chętnie to zrobił, ja zaś usiadłem naprzeciw niego i z ledwo wystającym czołem powiedziałem, że potrzebuję nowych ubrań.

– Więc mam ci je przynieść? Dobrze, jutro o poranku przyniosę ci wszystko.

– A teraz naucz mnie. Szacunek i to wszystko, o co ci chodzi.

Starszy pan oniemiał. Zabrakło mu słów, jednak nie odsunął się od wyzwania. Postanowił mi pomóc.

– Więc... po pierwsze musisz uważać na rozkazy. Zaczynij używać prośb. Słów takich jak „proszę”, „przeprasza”, „czy mógłbyś”, a już w szczególności „dziękuję”.

– Po co? To zbędne słowa, niczego one nie zmieniają.

– Chciałeś, żebym cię nauczył o szacunku, więc to robię. Twoja decyzja, co z tym poczniesz. Po drugie, wprowadź do swojego okręgu zainteresowań innych niż ty sam. Zapytaj, jak się czuję albo czy sam czegoś nie potrzebuję.

– No dobrze. Postaram się... Więc jak się czujesz?

– Bardzo dobrze, dziękuję, że pytasz. A co u ciebie?

– Nic...

– I tu przechodzimy do etapu trzeciego, prowadź rozmowy. Nie unikaj ich, a już w szczególności nie okazuj pogardy w swych słowach.

Wówczas Włodzimierz spojrzał na zegar, widocznie zaniepokoił się tym widokiem, bo szybko pożegnał się i wyszedł. Nie wiedziałem, dokąd tak pędził, nawet nie zdążył mi powiedzieć, lecz zostawił mnie samego. Za oknami była ciemna noc, ale nie chciałem iść spać. Postanowiłem stanąć przed lustrem i poćwiczyć to, czego się nauczyłem. Nie było tego dużo, ale wszystko powtarzałem starannie i pragnąłem za każdym razem czynić progres.

– Dzień dobry! – krzyknąłem do swego odbicia, po czym pochyliłem czoło.

– Ależ mi miło!

Tym razem udałem zaskoczenie i wdzięczność. Wszystkie te pozy przyozdabiał sztuczny uśmiech. Był on tak intensywny, że paraliżowało mi policzki. Później postanowiłem ćwiczyć ukłony i podawanie ręki. Trwało to może do czwartej rano, wówczas spojrzałem na zegarek i zaskoczył mnie ten widok. W ogóle nie czułem upływającego czasu, jakby ktoś przestawił zegar. Zauważyłem wtedy, że robiąc coś przyjemnego, coś, co koi mój umysł, nie potrzebowałem snu. Było mi o wiele przyjemniej. Postanowiłem już dać sobie spokój z treningami i położyć się nieco, lecz zerknąłem jeszcze szybko na swe odbicie i zobaczyłem w nim podkrążone oczy. Przypominały te, które można zobaczyć na twarzy przeciętnego dorosłego. Powieki oklapłe, a gałki zaczerwienione. I tak wpadłem na pewien, genialny w moim mniemaniu, pomysł.

Pobiegłem do stolika z rysunkami, zabrałem długopis i wróciłem. Następnie użyłem swojej twarzy zamiast płótna i zacząłem malować. Niemalże idealnie ze skończoną moją pracą do pokoju zawitał Włodzimierz z ubraniami. Cichutko zamknął za sobą drzwi i patrząc uważnie pod nogi, maszerował ku mojej szafie. Wtem postanowiłem popisać się mu moimi nowymi zdolnościami.

– Dzień dobry! Cóż za przemiły poranek.

Włodzimierz podskoczył, jakby nadepnął na jeden z moich klocków. Ubrania zawisły w powietrzu jak ptaki podczas wichury, a on sam złapał się za serce.

– Marcel!

Nie wiedziałem, co takiego zrobiłem.

– Czemu nie śpisz o tak wczesnej porze? Wystraszyłem się ciebie. O mało nie kopnąłem w kalendarz – powiedział Włodzimierz, gdy złapał trochę tchu.

– Czemu chcesz kopnąć kalendarz?

– Tak się mówi...

Spojrzał mi w oczy, ale nie na długo. Jego uwagę szybko przykuła moja twarz. Miałem na niej namalowane zmarszczki i zarost dojrzałego męża.

– Co ty zrobiłeś sobie z buzią?

Wtedy uniosłem dumny podbródek i wypiąłem drobną klatkę piersiową.

– Zarost... Skoro nie dożyje starości, to musiałem ją przyspieszyć. Również nauczyłem się, co oznacza szacunek, więc od dziś jestem dorosły – rzekłem grubym głosem.

Włodzimierz ponownie przywdział ten uśmiech, który pokazywał tylko dwóm osobą, przy czym jedną z nich byłem ja.

– Nie możesz już stać się dorosłym. Dzieciństwa jeszcze nie miałeś. Pamiętaj, że czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał.

– Kim oni są?

– To takie przysłowie.

– Co?

– Nie wiesz, czym są przysłowia? Widzisz, o tym mówię, musisz się jeszcze dużo nauczyć, zanim staniesz się dorosły.

– Nieprawda, właśnie że już jestem dorosły i pragnę szacunku!

Nagle starszy pan zatopił się w swoim umyśle. Obserwowałem go, ale on jakby był w transie.

– Mam! Skoro chcesz dorosłości, to udowodnij mi, że już ją posiadasz – powiedział ochotczo, jak się wybudził.

– Dobrze... Mam zarost.

– To się nie liczy, jest fałszywy. Musi to być coś realnego. Szacunek także tu nie pasuje, ponieważ posiadają go i dzieci, i dorośli.

Zacząłem drapać się po głowie i chodzić po pokoju. Włodzimierz, widząc to, usiadł przy stole i czekał, aż się odezwę. W międzyczasie w jego ręce wpadł obrazek, który namalowałem. Spoglądał na niego z przykrością i strachem. Nagle zrozumiał, jakie dzieciństwo miałem. Po chwili odstawił kartkę i ponownie poświęcił uwagę mi. Ja zaś nie miałem weny, nie wiedziałem, którego argumentu użyć. Wpadł mi nagle do głowy jeden dobry.

– Wiem! Zostało mi mniej czasu, niż już go spędziłem na tym świecie.

– Kreatywne, ale nie.

– To nie wiem. Naucz mnie jak być dorosłym!

– Marcelku, nie może tego zrobić. To samo przyjdzie, ale od ciebie zależy kiedy.

– Więc chcę już!

– To dobrze się składa, bo ma dobry plan, jak możemy nieco przyspieszyć ten proces. A przynajmniej zademonstruję ci, jak wygląda dorosłość w pewnym aspekcie.

Wtedy nie myślałem, co to może być, ale zbyt bardzo cieszyłem się na te słowa. Włodzimierz dodał jeszcze, że mam ubrać się w stój, jaki mi przyniósł. Pozbierałem je z ziemi i pobiegłem jak strzała do łazienki. Nie marnując żadnej sekundy, zrzuciłem z siebie piżamkę, umyłem twarz, następnie zacząłem szorować ząbki i czesać się jednocześnie. Śpieszyłem się jak nigdy, a gdy odświeżony chciałem zakładać na siebie spodnie, zrobiłem to tył na przód. Nawet nie zwracałem uwagi, jakie ubrania dostałem, zakładałem jak wszystko. Kiedy już wyszedłem, miałem na sobie

dżinsowe spodnie, granatowe i z przetarciami gdzieniegdzie. Na torsie zaś była szara koszulka, którą zakrywała fioletowa bluza z kapturem. Stałem przed Włodzimierzem i z ekscytacją na twarzy oznajmiłem, że jestem gotów. Jeszcze nigdy chyba na nic się tak nie nastawiłem, na krótką chwilę nawet zapomniałem o swojej chorobie. Starszy pan, siedząc na krześle, widział przed sobą małą istotę, która z biegającą szczęką tupała nóżkami. Uśmiechnął się do mnie.

– Chcesz może porozmawiać o tym obrazku? – zapal przed wyjściem i wskazał palcem na mój rysunek.

– Możemy, ale szybko!

– Dobrze. – Zachichotał leciutko. – Więc co to jest? Dlaczego to takie przygnębiające?

– Nie wiem, co to takiego. Po prostu spojrzałem na swoje łóżko, kiedy szukałem czegoś do namalowania i nagle tak je zobaczyłem. Przez długi czas trzymało mnie przy sobie, niszcząc mi taki kawał czasu.

– Boisz się go teraz?

– Nie. To bardziej utrata miłości.

– Co takiego?

– Mam na myśli, że kiedyś cały czas chciałem być z nim, spędzałem masę godzin w łóżku, czyli kochałem je, a teraz okazało się, że przez nie cierpiałem tak wiele. Więc utraciłem miłość.

– Marcelku, to nie była miłość, ty nie wiesz, co to słowo znaczy.

– Więc naucz mnie.

– Nie mogę cię nauczyć wszystkiego, bardzo dużo będziesz musiał odkryć sam, bez niczyjej pomocy. Będzie ci trudno, ale tak musi być.

– Kiedy się tego nauczę?

– Tego nie wiem, ale chciałbym, aby to nastąpiło jak najszybciej. Teraz chodźmy.

Włodzimierz wstał i podeszedł do drzwi prowadzących na korytarz. Otworzył je na całą szerokość i wyszedł na zewnątrz. Stamtąd zawołał mnie, ale nagle moje nogi wtopiły się w podłogę. Nie mogłem się ruszyć. Bałem się, że choroba znów uderzyła, ale okazał się to być strach. Po koniuszkach trzęsących się palców zaczął spływać pot, usta wyschły, a kolana zmiękły. Nie wiedziałem, co mam zrobić, a Włodzimierz stał jedynie na zewnątrz i wołał mnie. Odparłem, że nie dam rady wyjść sam, ale on nie mógł mi pomóc.

– Dasz radę, Marcelku, musisz!

– Nie mogę. Pomóż mi, proszę. Boję się i chyba jednak nie jestem jeszcze dorosły.

– To, że się boisz, nic nie oznacza. Pytanie, czy przez strach oderwiesz się od marzeń. To jest dorosłość, walczenie z silniejszym.

Stałem jak wryty, a mój nowy znajomy motywował mnie, jak umiał. Jednak było mi ciężko. Spojrzałem za Włodzimierza i zauważyłem tam cały kremowy hol. Płaskie ściany, jedynie co kilka metrów pojawiały się wybrzuszenia, jakby wmurowane do połowy kolumny. Pomiędzy tym szafki, a na nich kwiaty. Nad kwiatami były lampki

ścienne zawieszono po obu stronach obrazów. Każde z tych dzieł przedstawiało jakiegoś człowieka. Na ziemi rozciągał się dywan, czerwony ze zdobieniami, a sięgał on końca korytarza, gdzie znajdowały się jedyne drzwi, jakie widziałem. Było tam niewyobrażalnie jasno, jakby mój pokój był od zawsze ciemnym tunelem i nagle zobaczyłbym światło. Musiałem tam iść. Oderwałem jedną stopę, a potem kolejną. Zacząłem powolnie maszerować w kierunku drzwi i im bliżej byłem, tym szybciej się poruszałem. Stając przed progiem, rzuciłem się wprost w nogi Włodzimierza, przytuliłem się do nich z całych sił i ze łzami w oczach krzychałem na niego.

– Jak mogłeś mi coś takiego zrobić!? Kto ci pozwolił?

– Marcel, ja...

– Miałeś mi pomóc! Teraz się boję, to nie jest lepsze od tego, co miałem w pokoju!

– Bo postawiłeś pierwszy krok na milowej drodze do lepszego. Do sukcesu prowadzi kręta i wyboista ścieżka. Wybacz mi, ale musiałem.

Pląkałem jeszcze tak kilka minut, a Włodzimierz cierpliwie czekał i nie odzywał się. Był oazą spokoju, nigdy nie podniósł na mnie głosu. Wtedy tego nie wiedziałem, ale nauczył mnie czegoś jeszcze. Był to podziw dla innej osoby. Kiedy skończyłem płakać, starszy pan uklęknął przede mną i przetarł mi policzki.

– Chodź, musimy już iść, bo się spóźnimy.

– Przecież nic się nie stanie.

– Może i racja, ale obiecałem pojawić się na umówioną godzinę i muszę dotrzymać słowa.

Następnie chwycił mnie za dłoń i udaliśmy się w głąb korytarza. Przechadzając się, widziałem portrety osób i zastanawiałem się, kim są. Wyglądali niczym królowie, piersi daleko wyciągnięte i nadmiar bogactwa na ich szatach. Zapytałem, kim są, ale jedyne, co w odpowiedzi usłyszałem niewiele.

– Są to ludzie ubodzy.

Nie rozumiałem tego, ale nie chciałem drażnić tematu. Skupiałem się jedynie na naszym zadaniu. Nie wiedziałem, co to miało być, ale także nie pytałem. Po tak krótkim czasie żywiłem do starszego pana ogromne zaufanie. Gdy zbliżyliśmy się do drzwi na wprost nas, zauważyłem kolejne po prawej stronie. To przez nie musieliśmy wejść. Tak znalazłem kilka pokoi złączonych w jeden, jakby ktoś zapomniał o ścianach. Był jeden główny, duży i rozpięty na kilkanaście metrów. To od niego rozchodziły się jeszcze cztery – na wprost od wejścia jeden, po prawej było przejście do drugiego, na końcu którego przejście do następnego, po lewej zaś przejście do ostatniego.

Główny, największy był cały umeblowany. Na jego środku był długi na metr stół, szeroki na dwa. Na nim leżały czyste szklaneczki z łyżeczkami, talerzykami, cukrem i jakimś dziwnym brązowym proszkiem. Wokoło stołu były dwa fotele i jedna duża sofa, za którą znajdował się wieszak na płaszcze. Podłogę z czerwonego drewna oświetlała zwisająca z sufitu lampa. Na wprost nas, w drugim pokoju, było już o wiele więcej. W jego centrum zauważyłem jakiś dziwny podest, a wokoło niego lustra

i kotarę. W rogu znajdowały się różne manekiny z kamizelkami i marynarkami, ale były całe brudne. Wszędzie wały się pudła z materiałami, a na ścianach wisiały nożyczki, wieszaki i różne bibeloty. Było także biurko z kartkami i mały stoliczek z innymi materiałami. W trzecim pokoju znalazłem kilka szaf. Wszystkie niemalże wypełnione garniturami i krawatami. W czwartym zaś pokoju była największa maszyna do szycia, jaką widziałem, jakby pianino, którego muzykiem był Włodzimierz. W ostatnim pokoju było jedynie biurko, na którym leżała cała masa nici i igieł, jedno lustro powiększające przymontowane do mebla i mały wentylator. Mimo tak dużej ilości rzeczy nigdzie nie znalazłem śladu brudu czy nieładu. Wszystko to było na swoim miejscu i było tak, jak chciał tego starszy pan.

Kiedy już przejrzałem pokoje, zostałem poproszony do głównego pomieszczenia, tam czekała na mnie szklaneczka parującej, najohydniejszej cieczy, jaką kiedykolwiek poznałem. Na fotelu siedział Włodzimierz i sączył ten napój z własnego naczynia. Ja usiadłem na wprost niego, wdrapawszy się na mebel.

– Mówiłeś, że nauczyłeś się, co to szacunek. A czy wiesz, że dobre wychowanie, inaczej maniery, idą z nim w parze?

– Więc nauczysz mnie i tego.

– Jeśli będziesz chciał. A teraz weź szklaneczkę w dłoń i pij razem ze mną. Skoro chcesz być dorosłym, musisz to wypić, ale ostrożnie, jest gorące.

Wyciągnąłem dłoń, jak daleko mogłem, wziąłem naczynie i delikatnie chucałem w brązową ciecz tak, jak robił to starszy pan. Wówczas przerwał mi, kiedy miałem zanurzyć w nim swoje usta i rzekł, iż muszę podziękować za przygotowanie i danie mi tego napoju. Powiedział, że muszę o tym pamiętać. Ja zaś w środku, w sercu, czułem złość, że musiałem wypowiadać tyle zbędnych słów, udawać grzecznego, mimo że taki nie byłem, zachwalać i uznawać wyższość innych. Frustrowało mnie to, ale nie dawałem tego po sobie poznać i zrobiłem, jak powiedział mi pan. Podziękowałem, podmuchałem ponownie i wziąłem łyk, jak się później dowiedziałem, kawy. Był to smak okropny, gorzki i cierpki. Krzywiąc się okropnie, próbowałem to połknąć, ale nie potrafiłem i wypłułem to z powrotem do szklanki. Następnie kaszlałem jak stary marynarz, a Włodzimierz patrzył na mnie i czekał na moje słowa.

– Przepyszna kawa... – Zaakcentowałem sarkazm, który się nie spodobał gospodarzowi.

On także nie krył swojego niezadowolenia z mojego zachowania i wytknął mi to, ale ja miałem już tego dość.

– Koniec. Nie chcę mówić fałszywych, ale słodkich rzeczy. Skoro to jest szacunek i maniery to ja obejdę się bez nic. Wolę być szczery i prostacki w zamian. A ta kawa to jakaś kara i tylko głupki mogą ją pijać.

Powiedziałem to w gniewie i nie myślałem nad wagą swoich słów, Włodzimierz zaś jak zawsze ze spokojem siedział i pił swój wywar dalej, a ja czekałem na niego. Po upływie kilku minut odłożył na stolik pustą szklankę i powiedział, że czas na pracę. Nie wiedziałem, co ma na myśli, ale ten wstał, poprawił nieco swoją idealnie wyprasowaną koszulę.

– Ta rzecz, która pokaże ci, jak wygląda dorosłość, to właśnie praca. Będziemy szyc garnitury – odparł.

Nie wiedziałem, co to oznacza dla mnie, nigdy nie pracowałem ani nie wiedziałem, jak to wygląda, lecz równo o godzinie dziewiątej szef Włodzimierz zarządził rozpoczęcie pracy. Podwinął rękawki i zaprowadził mnie do pierwszego pokoju, tam stanąłem na podeście, a szef zaczął mnie mierzyć. Powiedział, że będziemy robić garnitur dla mnie. Podczas zdejmowania miar pytał się mnie, jaki ma to być garnitur. Zasugerowałem różne wersje, od neonowych z głową smoka, po takie z ukrytymi schowkami na cukierki. Jemu jednak nie spodobały się moje pomysły, powiedział, że ma on być elegancki i gustowny. Dodał na koniec, że mam niesamowitą wyobraźnię i jeszcze z taką się nie zetknął. Po długich naradach, kiedy kwestia rodzaju i koloru garnituru została załatwiona.

Włodzimierz usiadł przy biurku, a ja musiałem przynosić mu materiały z różnych pokoi. Niektóre były lekkie, ale większość ważyła prawie tyle, co ja. Na dodatek były one oddalone od biurka o kilka metrów. Prawie nie odpoczywałem, a kiedy już udawało mi się, to stałem i wpatrywałem się, jak szef łączy ze sobą materiały. Była to udręka, maszerowałem jak w wojsku, a często także zdarzało mi się pomylić kartony z materiałami i musiałem się wracać.

Około godziny dwunastej przetarłem swoje czoło z potu i widziałem, jak starszy pan masuje sobie plecy. Sądziłem, że to już koniec na dziś, ale nie, dostałem polecenie, abym odniósł wszystkie kartony na swoje miejsce, a było ich może dwadzieścia. Na dodatek zapomniałem, skąd je pobrałem. Byłem zły, nie chciałem pracować, nie było to ani przyjemne, ani zabawne. Powiedziałem przyjacielowi, że nie mam zamiaru już więcej się męczyć, ale ten poprosił, abym się nie poddawał. Po jakiejś chwili zgodziłem się i zacząłem odstawiać kartony, a po całej wieczności, jaką mi to zajęło, podszedłem do biurka.

Zapytałem, czy to już koniec, a jedyne co usłyszałem to chichot i kolejne zadanie. Tym razem musiałem zabrać pozszywany materiał i udać się do drugiego biurka. Tam czekało mnie szycie, musiałem wybrać nici i pozszywać krawędzie materiałów, aby nie było ich widać po założeniu. Tym razem bez słowa wykonałem polecenie. Skończyłem około piętnastej, wówczas moje palce szczypały mnie i krwawiły. Miałem dosyć, włączając nogami, dotarłem do Włodzimierza i oddałem mu garnitur.

– Mam tego dosyć. Już nie chcę pracować ani być dorosłym. To nie jest to, na co chcę poświęcić ostatnie moje chwile. Muszę znaleźć coś innego i mniej wymagającego. To po prostu nie to – powiedziałem.

– Dobrze, rozumiem. A czy ty rozumiesz teraz, co oznacza szacunek dla dorosłych? Ile muszą poświęcić i się starać? Odczuwają dokładnie to samo, co ty, lecz oni nie poddają się tak szybko i robią to przez całe lata. Dzień w dzień.

– Więc to jest ten wymagany szacunek... Tego się nie spodziewałem. Dziękuję.

To zdanie powiedziałem zupełnie szczerze i z pełnym szacunkiem. Włodzimierz był ze mnie dumny, mimo iż nie podolałem dorosłości, ale on chyba o tym wiedział. Zabrał mi z rąk garnitur i udał się do pierwszego pokoju, tam zostawił nasze dzieło

na biurku i zarządził przerwę. Powiedział mi, żebym jeszcze dziś popracował, jutro zaś nauczy mnie kolejnych rzeczy. Niechętnie, ale zgodziłem się i obaj usiedliśmy koło siebie na kanapie.

Zauważyłem, że jego koszula strasznie się pogniotła i pobrudziła, a koniuszki jego zapracowanych dłoni były w oplakany stanie. Musiał to wykonywać od lat, a mimo to poświęcał swój cenny czas mi. W ten sposób zyskiwał coraz więcej mojego szacunku. Po chwili pochylił się zza oparcia sofy i wyciągnął swój brązowy neseser, a z niego dwa plastikowe pudełka. Jedno podał mi, a kiedy je otworzyłem, znalazłem tam obiadek. Były to frytki wraz z burgerem. Potrawy te ujrzałem po raz pierwszy, ale zaraz po ich spożyciu żałowałem, że tak późno. Były przepyszne, śmiałem się i cieszyłem jak z żadnej zabawki, jaką kiedykolwiek dostałem. To był posiłek, jaki powinien dostawać każdy dzieciak w moim wieku. Po skończonym obiedzie, czyli pół godziny później, Włodzimierz zapytał się mnie, co o tym sądzę. Odpowiedziałem szczerze, że było przepyszne i podziękowałem za to. Czas, jaki nam pozostał do ponownej pracy to pół godziny, więc zaczęliśmy rozmawiać.

– Więc Marcelku, nie wiesz, co to są przysłowia?

– Nie, ale chyba nie chcę się ich dziś uczyć. Powiedz mi, co robisz, kiedy nie zajmujesz się mną?

– Cóż, zazwyczaj zajmuję się drobnymi usterkami w tym domu. Wymieniam żarówki, naprawiam poniszczone schody i różne takie.

– Nie brzmi to wcale zajmująco, a tym bardziej męcząco.

– Marcel, dziś masz przykład, że nawet szycie jest trudne.

– Może i masz rację... Ale dlaczego ja nigdy jej nie mam? Ilekroć coś powiem, oznajmiam, to okazuje się, że jest to błędne i ty mnie poprawiasz.

– Po prostu jesteś jeszcze młody, a tacy nie mają racji.

– Co?! Czyli zawsze będziesz mądrzejszy ode mnie? Że niby mało wiem i na niczym się nie znam!? – odpowiedziałem oburzonym tonem.

– Nie o to mi chodzi. Mam na myśli, że mało wiesz o zasadach i ścieżkach, jakie ja już przeszedłem.

– Sam także niemało umiem i wiem. Zobaczysz jeszcze, że mylisz się z tym. Udowodnię ci to i pokażę, że młodzi potrafią także poprawiać.

– Dobrze. Przepraszam, że tak to zabrzmiało.

– Ty to już lepiej nic nie mów. Chodź pracować.

– Jeszcze przerwa nie dobiegła końca. Posiedźmy chwilkę i porozmawiajmy, może teraz o czymś innym.

– Coś ty taki punktualny? Nie mam ochoty już z tobą rozmawiać. Powiedz mi tylko, co mam zrobić i siedź sobie sam.

Dostałem za zadanie pozamiatać, a po tym mogłem zakończyć dzień pracy. Włodzimierz zaś siedział smutny aż do szesnastej i widocznie żałował swoich słów w odróżnieniu ode mnie. Nie widziałem tego nie dlatego, że byłem ślepy, lecz wina leżała po stronie mojej dumy, która choćby lekko naruszona, puszczała mój temperament i krzyczałem lub obrażałem się. O ile pamiętam, zawsze tak się to kończyło.

Zamiatalem może trzy godziny, dłonie mi drętwiały, a plecy wręcz paliły, jednak nie chciałem przestać, aby przypadkiem moje spojrzenie nie natknęło się na wzrok Włodzimierza. Koniec pracy w końcu nadszedł, odniosłem jedynie miotłę w kąt, z którego ją zabrałem, wyrzuciłem śmieci do kosza i odszedłem bez słowa pożegnania. Zamknąłem za sobą drzwi i wróciłem do swojego pokoju, lecz tych drzwi już nie zatrasnąłem. Zostawiłem je uchylone, aby widzieć, jak starszy pan odchodzi. W międzyczasie chodziłem po pokoju, ciągnąc swoje włosy i myśląc, jak udowodnić mu swoją rację. Nie wiedziałem, jak do tego podejść, więc zacząłem mówić na głos. Wyobrażałem sobie kogoś takiego jak Włodzimierz koło siebie, kogoś, komu mogłem powiedzieć bardzo dużo. Mówiłem różne rzeczy, od planów, jak nauczyć czegoś tego staruszka, po wskazanie swojej wyższości w jakiejś konkurencji, co równałoby się z moim triumfem. Nie wpadało mi nic do głowy, jedynie złość rosła z upływem czasu.

Kiedy ta osiągnęła swoje maksimum, musiałem się wyżyć na czymś lub kimś. Wtem oczami wyobraźni zobaczyłem przed sobą Włodzimierza, stał jakby w realu, idealne jego odwzorowanie. Nawet jego usta wypowiadały słowa, w których byłem poniżany. Nie wytrzymałem, porwałem poduszkę w garść i zacząłem uderzać go z całych sił, lecz nie czułem kontaktu z niczym. Musiałem wyobrazić go sobie na jakiejś twardej powierzchni, więc padło na ścianę. Gdy już go tam umieściłem, biłem bez opamiętania, pierze zaczęło spadać z góry, a złość dalej rosła. Nie wiedziałem dlaczego, póki w ręku nie została mi sama poszewka.

Dowiedziałem się, że złościłem się na siebie, a dokładnie na to, iż nie potrafiłem znaleźć sposobu na pokonanie go. Kiedy już twierdziłem, że mój przyjaciel ma rację, usłyszałem, jak otwierają się drzwi pracowni. Starszy pan skończył pracę i odszedł. Wtedy była już późna godzina, może dwudziesta, a ja mimo takiego czasu bez snu czułem się wspaniale i nie zamierzałem tego zmieniać. Musiałem znaleźć coś w pokoju z garniturami, co mogłoby mi pomóc, więc poszedłem tam.

Po cichu zamknąłem za sobą drzwi, włączyłem światło i zauważyłem mnóstwo zmian w pokojach. Po pierwsze w pomieszczeniu głównym znalazło się pełno torsów manekinów, które trzymały się na czymś w rodzaju trzonu od stojącego wieszaka. Na nich wisiały koszule z krawatami na szyi i marynarkami. Dwa komplety tego ubioru znajdowały się również na sofie, a stolik przyozdabiała szklaneczki z kawą i talerze z ciasteczkami.

Nie wiedziałem, co wydarzyło się wcześniej, ale było to na tyle ciekawe, że postanowiłem zajrzeć do innych pokoi. Tam znalazłem podobne anomalie. Nagle moje rozglądanie się przerwał cichy dźwięk muzyki, jednak nie potrafiłem zawiesić spojrzenia na jej źródle. Powoli przemierzałem kolejne pomieszczenia, a z czasem muzyka stawała się coraz głośniejsza. Z obawy o moje zdemaskowanie przyspieszyłem nieco tempa i w końcu znalazłem stary patefon. Leżał on na biurku z niemi w ostatnim pokoju, a na nim płyta winylowa. Szybko doskoczyłem do maszyny, aby ją wyłączyć, lecz nie spodziewałem się tego, iż płyta nie będzie się kręcić. Sam patefon był w takim stanie, że nie mógł działać. Był on wielki. Drewniana skrzynka

u dołu maszyny była wytarta i popękana, u góry znajdowała się igła z matową rączką, a jego tuba miała dziury i z wiekowe przebarwienia.

Stałem jak wryty, nie wiedziałem, co się dzieje. Myślałem, że Włodzimierz robi sobie ze mnie żarty, ale było to niemożliwe, aby puścić muzykę z tego rupiecia. Wystraszyło mnie to bardzo i postanowiłem wrócić do swego pokoju, gdzie byłbym bezpieczny. Jednak największa niespodzianka dopiero miała mnie spotkać. W momencie, kiedy się odwróciłem i chciałem uciekać, moim oczom ukazała się sala balowa w miejscu, gdzie było pomieszczenie główne. Wielka jak hangar, na ścianach bordowe tapety, światło ciepłe i nastrojowe, a muzyka, jakby grała w głowie. Podłoga pokryta jasnobrązowymi panelami, po której poruszały się manekiny w garniturach.

Była ich cała masa, nie potrafiłem ich zliczyć. Większość z nich tańczyła do rytmu, niektórzy zaś siedzieli lub stali wokół sofy i rozmawiali, popijając kawę. Ci, którzy oddali się hulankom, poruszali się na wyprostowanych trzonach, jedynie machali rękawkami. Natomiast gawędziarze na sofie leżeli jak zrzuczone ubrania napełnione powietrzem. Szklaneczki trzymali w zawiniętych rękawkach marynarki i z powodu braku głów wlewali napój do dziury na szyję. Nie potrafili też mówić, ale ruchy torsu pomagały mi wyobrazić sobie ciała w ubraniach.

Krzyknąłem głośno i uciekłem pod najbliższy stół. Tam szybko przytuliłem swoje kolana i schowałem wzrok, bojąc się. Nie wiedziałem, co to było – moja wyobraźnia czy raczej choroba. Jednego byłem pewien, widziałem bal garniturów. Byłem przerażony, już chciałem wołać o pomoc, ale nagle poczułem, jak coś dotknęło mojej ręki. Był to rękaw garnituru. Kilkoro z nich stało przede mną i kiedy uniosłem na nich swój wzrok, oni podnieśli ręce do góry, machając przy tym. Krew na minutę zatrzymała się w moich żyłach. Widzące to garnitury zaczęły gestykulować w moim kierunku, prosząc mnie, abym się uspokoił. Niedługo potem jeden z nich przyniósł mi szklankę wody, a drugi ciasteczka. Zrozumiałem, że nie muszę się ich bać. Nie chcieli mi zrobić krzywdy, a jedynie bawić się. Jednak w tamtym momencie to ja byłem główną atrakcją. Kiedy wstałem, jeden z nich otrząpał mnie z kurzu, a reszta wpatrywała się we mnie. Nie wiedziałem, co mam uczynić, miałem tyle pytań. Przypomnił mi się Włodzimierz i jego lekcje.

– Dobry wieczór. Czy mógłby mi ktoś powiedzieć, co tu się wyprawia?

Wypowiedziałem to, niemalże rozkazując, garnitury zaś spojrzały się jeden na drugiego i z powrotem na mnie. Stali tak chwilę skierowani torsami w moją stronę i nagle każdy zaczął gestykulować. Było ich może trzynastu, każdy pokazywał co innego, uderzali siebie ramionami, przepychali się i energicznie skakali, jednak nie wiedziałem, czego chcą. Powiedziałem, że muszę wracać, a wtedy jeden z nich porwał mnie, rzucił sobie na bark, pod którym czułem jedynie twarde powietrze, i podskakując na jednej nodze, zaprowadził mnie na parkiet.

Był to czarny garnitur, idealnie wyprasowany, krawat jego zaś był niebieskawy. Odstawił mnie na środku sali i jednym rękawem oplótł moje żebra, a drugim chwycił za dłoń. Nie czekając na nic, nie gestykulując, porwał mnie do tańca. Skakał jak kangur, obracał się jak tornado, przemykał pomiędzy innymi jak ryba, gładko

i naturalnie. Krzyczałem, żeby mnie zostawił, ale na nic się to nie zdało. Kiedy nadszedł koniec piosenki, dopadł mnie inny garnitur i tańczyłem z nim. Wtedy zacząłem wszystko rozumieć. Oni chcieli, żebym został i bawił się razem z nimi. Sam nie miałem innego planu ani nic na mnie nie czekało. Zostałem i tańczyłem, nie walczyłem i sam porywałem coraz to nowszych partnerów do tańca. Kiedy ci zobaczyli moje nogi, osłupieli, poczuli zazdrość. Każdy z nich bez wyjątku zapragnął takie posiadać i chciał skakać tak jak ja. Jednak nie robili z tego powodu afery, jedynie podchodzili bliżej, żeby mi się przyjrzeć.

Po upływie około godziny byłem cały spocony, padałem wprost na parkiet. Postanowiłem odpocząć i usiadłem na sofie obok braci Bójka, Kelnera, Męża i Galowego. Nie wiedziałem, kim byli, ale takie imiona im nadałem, bo jak się okazało, wciągnęli mnie w rozmowę, a musiałem się jakoś do nich zwracać. Kelner wyglądał jak garnitur kelnera, Mąż był niczym smoking pana młodego, bracia Bójka machali ramionami tak mocno, gestykulowali tak ochoczo, że miałem wrażenie, iż byli to bracia ciągle kłócący się o jakieś kwestie, a następnie rozwiązywali to, bijąc się. Odbывało się to co kilka minut, a później godzili się, podając sobie rękawy i zabawa zaczynała się od nowa. Galowy zaś był najładniejszy z nich wszystkich, miał najwolniejsze ruchy i pił najwięcej kawy. Siedząc tam zmęczony, zapragnąłem szklanki wody, a słysząc to balangowicze podali mi kawę.

– Nie wypiję tego. Proszę mi dać wodę albo cokolwiek innego, byle nie kawę!

Wówczas „spojrzenia” wszystkich obecnych wokoło zwróciły się ku mnie. Stali lub siedzieli w bezruchu, nawet bracia zaprzestali walki. Nagle Galowy odłożył szklankę na stół, poprawił swój ubiór i niczym szympan, posługując się przednimi kończynami, zbliżył się do mnie. Nikt nie przeszkadzał mu w próbie pokazania mi czegoś. Najpierw pokazał prawym rękawkiem na mnie, później w przestrzeni obiema kończynami formował okrąg, na koniec założył rękawy za siebie nad pustą przestrzeń, gdzie powinna być głowa i skierował je do góry, kręcąc się na boki. Nie miałem pojęcia, co chce mi pokazać, robił tak jeszcze parę razy, ale widząc, że nie mam pojęcia, co to znaczy, poddał się.

– Taki ktoś, jak ty, stary i obeznany w świecie, a tak szybko się poddaje? Sądziłem, że będziecie lepsi, ale jednak się pomyliłem.

Po tym zdaniu zacząłem kręcić głową. Na to Galowy poklepał mnie po barku – chciał, abym zaczął mówić, jednak ja nie chciałem nic powiedzieć. Następnie dołączył się Mąż, on także zachęcał mnie do rozmowy, a właściwie monologu, ale nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Kiedy bracia zaczęli grozić mi bójką w przypadku dalszego milczenia, w końcu się odezwałem.

– Nazywam się Marcel, jestem nieuleczalnie chory...

Wtem Galowy zatkał mi usta swym rękawem. Kiedy zamilkłem, pokazał, abym powtórzył. Zrobiłem to powoli, a garnitur nasłuchiwał.

– Nazywam się Marcel... Jestem...

Miłośnik kawy ponownie zatkał mi usta i uświadamiał mnie, że to jest to słowo. Później kazał mówić dalej.

– Jestem nieuleczalnie chory na nie wiadomo co. Mój doktor jest mało utalentowany, jednak muszę przyznać, pracował. To jest ciężkie. Przez tragedię, jaka mnie spotkała, czułem się okropnie...

Wtem znów zabroniono mi mówić dalej, a garnitur pokazywał, że było to właśnie to słowo. Zapytałem, czy chodzi o „okropny”. Odpowiedź, jaką zobaczyłem, była i „tak”, i „nie”. Oznaczało to, że było to słowo o podobnym znaczeniu.

– Brzydki? – zapytałem.

Garnitur zaprzeczył.

– Zły?

To było to słowo. Musiałem połączyć te dwa wyrazy i wyszło to, co chciał mi przekazać – „Jestem zły”.

Nie zgodziłem się z tym, nie miałem sobie nic do zarzucenia. Sądziłem, że przez nowo poznane istoty przemawia zazdrość o moje nogi, więc odszedłem bez słowa. Zmierzając ku wyjściu, byłem wściekły, dłonie miałem mokre jakby po kąpieli, szarpałem za swoje ubranie, tupałem z całych sił i odpychałem napotkanych na swej drodze osobników. Kiedy podszedłem do drzwi i miałem zamiar chwycić za klamkę, muzyka zamarła. Odwróciłem się, a tam każdy bez wyjątku zwracał na środek parkietu. Byłem ciekaw, co tam się wydarzyło, więc podszedłem nieco.

Okazało się, iż pojawił się nowy gość. Piękna, biała suknia sięgająca ziemi. Jej talię otaczała koronka, a rękawki były napuszone i błyszczące. Była to Panna Młoda, partnerka Męża. Wszyscy zajęli się nią, jakby zapomnieli o tańcu. Masa garniturów podchodziła do niej, zapraszali do rozmowy, tańca czy na wspólną kawę. Ta jednak nie miała ochoty nikogo poznawać, jedynie szukała swego partnera. On sam, kiedy tylko do niej dotarł, zaczął przepędzać wszystkich. Nie rozumiałem tego zachowania, nie miałem pojęcia, co się dzieje i kiedy już miałem zapytać o to Kelnera, który obserwował bacznie zajście tuż obok mnie, drzwi się otworzyły.

Odwróciłem się w ich kierunku, a w przejściu stał Włodzimierz. Niezwykle zdziwił się moim widokiem, zwłaszcza o tej godzinie. Jak się okazało, była szósta rano, tańczyłem całą noc.

– Marcel? Co ty tutaj robisz o tej porze?

Byłem strasznie podirytowany, nie chciałem oglądać jego twarzy, a co dopiero z nim rozmawiać. Skierowałem spojrzenie w dół i chciałem przemknąć obok niego. Jednak tym razem Włodzimierz nie pozostał pasywny, mocno chwycił mnie za ramię i przyciągnął z powrotem do siebie. Uklęknął na jedno kolano i zbliżył się do mnie.

– Co się stało? Mów do mnie. Milcząc, nie będzie ci łatwiej.

Wtem zerknąłem za niego, a tam nic. Wszystko po staremu, jakby nic się nie wydarzyło. Nie mogłem uwierzyć, że była to magia. Stałem z otwartymi ustami i nie wiedziałem, co powiedzieć. Starszy pan widział moją minę i dociekał wszystkiego. Pytał, co tu robiłem, czemu tak się zachowuję. Miałem niewyobrażalnie wielki mętlik w głowie, złość czy strach, już nie wiedziałem, co czuć. Pomyślałem, że może jestem w jakiejś śpiączce. W końcu Włodzimierz odszedł ode mnie, podszedł pod sofę, po czym usiadł na niej i poprosił mnie, abym usiadł obok. Zacząłem przyglądać

się pomieszczeniu i szukać moich znajomych z balu. Kiedy niczego nie znalazłem, co wskazywałoby na ich obecność, usiadłem obok. Nagle usłyszałem cichy, przeżony i pełny zgubionej nadziei głos. Pytał się mnie, czemu marnuję siebie. Zachowywałem się jak obłąkany, krążyłem wzrokiem po przestrzeni, ale Włodzimierz otrząsnął mnie z tego transu.

– Mów do mnie! Co się stało?

– Byłem na balu. Odbывał się on tutaj, wszędzie tańczyły garnitury i piły twoją okropną kawę. To było takie prawdziwe... Nie wiem, co się stało.

– Mówisz prawdę? Musimy iść po doktora, to mogą być halucynacje związane z chorobą.

– Ale to było bardzo przyjemne. Świetnie się bawiłem i chciałbym to powtórzyć.

– Marcelku, to może być coś poważnego. Nie warto tego lekceważyć.

– Nie chcę! Zabraniam ci jakichkolwiek ruchów w tej sprawie. To moje ostatnie dni na tym padole, będę robił ze sobą, co chcę. Koniec tej dyskusji!

– Dobrze, ale proszę cię, uważaj na siebie.

Kiedy tak siedzieliśmy i rozmawialiśmy, uspokoiłem się. Jego głos tak przyjemnie na mnie działał. Mówił rzeczy, które pomagały mi i kontrolowały mój ognisty charakter. Później opowiedziałem mu wszystko, co wydarzyło się ubiegłej nocy. Starszy pan siedział i drapał się po swej łysawej głowie, nie wiedząc, jak na to zareagować. Kiedy już skończyłem swoją opowieść, zadałem mu kilka pytań. Dużo pytałem w sprawie pary na balu.

– Powiedz mi, czemu Mąż i Panna Młoda byli razem? I czemu on przepędzał innych?

– Przykro mi, ale nie mogę. Będziesz musiał to sam poznać na własnej skórze. Kiedyś to nastanie i uwierz mi, jest to coś wspaniałego.

– Ale co?

– Miłość, a także inne uczucia wiążące się z nią.

– Nie potrzebuję miłości. Nie chcę żadnej kobiety, one tylko zawracają ci głowę i marnujesz z nimi czas.

– Nie marnujesz, lecz dzielisz go z kimś. Nawet nie robiąc nic, zauważysz jakie to przyjemnie, kiedy czas tak szybko ucieka.

– Dobrze, już mniejsza o to – rzekłem z odrazą. – Powiedz coś mądrzejszego. Może odpowiesz, czy jestem zły?

– Co? Skąd u ciebie takie pytanie?

– Odpowiedz!

– Czy ty w ogóle odróżniasz dobro od zła?

– Tak! – Irytował mnie strasznie brak odpowiedzi.

– Nie wiem. Nie znam cię na tyle. Może po prostu zgubiłeś się, zatraciłeś czas albo nikt nie nauczył cię, jak funkcjonować.

– Czyli jestem?

– Podążaj moimi lekcjami, ucz się i spójrz na innych. Wtedy dowiesz się, czy jesteś.